



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

PRAWDA

(Memu bratu).

Szczęście!... Co to jest szczęście? miliony ust się
[pyta

Z namiętym niepokojem;
Zali to kwiat paproci, co w noc cudów zakwita
Nad czarodziejskim źródłem?
Zali to perła taka, po którą w mórz otchłanie
W głąb' iść trzeba bezdenną?
Niekażdy wszakże nurek jednakowo dostanie
Jasną, czystą, i cenną.
Może to owa z Sais bogini zasłonięta,
Któż przecież zna jej lica?
Jest tam, poza oponą, piękna, wysoka, święta,
Lecz zwie się — tajemnicą!...

Szczęście... Szczęście—to prawda! Prawdę w so-
[bie mieć trzeba,

By duch zyskał pogodę;
Prawda słodzi przedziwnie powszednią gorycz
[chleba

I ziemskich źrójów wodę.
Na fałsz tak się spracować musim, takie ciężary
Żłudnych pozorów nosić;
Jak karyatida wiecznie wyprężone mieć bary
A czoło znojem rósć.
I nigdy nieodpocząć spokojnie, nigdy szczerze
Przed nikim się nie zwierzyć,
Na przybytek swej duszy mieć jak strażniczą
[wieżę,—

Czuwając, życie przeżyć!...

Lecz fałsz to nie to tylko, co się przed ludźmi
[kłamie:

Kłamiemy sami sobie,
Wtedy duch nasz przybiera Faryzeuszów znamię
Mieszka w bielonym grobie.
Mówim sobie, że miłość dobra nosimy w łonie,
Że celem naszym enota,
Z sercem oschłem i brudnem zbieramy szatę
[w dłonie,
By rąbkami nie tknąć błota.
Lecz jest obrońca prawdy, którego nie nie złudzi,
Ukryty w głębi naszej,
Upojony sofizmem, coraz się przecież budzi
I protestem swym straszy.
Sumienie jest nam wtedy skutym w lochu Sam-
[sonem

Co wciąż targa łańcuchem,
Gmachem szczęścia, czy enoty, z ulud fałszu
[wzniesionym,

Wstrząsa z łoskotem głuchym.
Więc czujemy, że słaby, więc czujemy, że lichy,
Że w gruzy runąć może—
Isączy nam się gorycz w biesiad naszych kielichy,
Twardem jest puchów łożo.
To też u szczytu marzeń, u pragnień naszych celu
— Co jest szczęście? wołamy,
Bo nie mamy go w ducha spokojnego weselu
W piersi go swej nie mamy.
Zostało ono w tyle, tam gdzie prawda została,
W nagości swojej dumna,
Żadną skazą nie tknięta, jak czysta lilia biała,
Spokojna i rozumna.
Jej dar to nieschylone czoło, to radość cicha
Z dostojności człowieka.

I pierś nieuciśniona, co swobodnie oddycha,
Sen, co po pracy czeka.

Często przecież surowa, litości nieznająca,
Okrutną ona bywa:
Szychem bankruta trzęsąc wśród jasnych bla-
[sków słońca,

Woła:—Kłam cię okrywał!...
Temu, co już nie kocha, temu, co stracił wiarę,
Mówi:—Pierś twoja pusta!...
Retorowi, co zimno ściga poezyi marę,
Każe zamykać usta;
Ujawnia tak małości, rany nędzy Hiobowej, —
Serca jak ogniem parzy,
Aż boleść, żal, zgryzota zmusza w proch chylić
[głowy,

Wstyd krwią bije do twarzy.
Lecz w tym cierpienia gwałcie duch się rwie
[z otręwienia,

Zmywa trąd zastarzały,
Ogniste światło prawdy znowu mu rozpromienia
Wysokie ideały.
Więc walczy, więc pracuje, stracone swoje mienie
Zdobywa siłą dzielną—
I cicho uszczęśliwion, zwraca wdzięczne spoj-
[rzenie

Za prawdą nieśmiertelną.

Marya Ilnicka.

O znaczeniu pierwiastku ludowego w literaturze.

(Dokończenie).

Badacze rzeczy ludowych i twórcy, opierający się na tym pierwiastku, takim duchem są przeniknięci;—co więcej, uczeni zaczynają i w przeszłości dopatrywać objawów pierwiastku ludowego. Maciejowski chce nawet przyznać tym objawom wpływowe znaczenie, chce je widzieć źródłem prozy polskiej.

Wisniewski do wprowadzenia chrześcijaństwa naznacza *Słowiańsko-Polską* epokę Historii Literatury Polskiej, w której-to epoce nie było przedziału między literaturą ludu a literaturą narodu. Oto są jego słowa: „Gdyby ukształcenie człowieka postępowało zwolna, a światło rozwijające się wewnątrz zarówno w całym rozchodziło się narodzie; nie byłoby nigdy tego dziwnego rozbratu między literaturą ukształconych a literaturą gminu w Europie. Ile pamięć Historii zasiega, dwa razy tylko ta szczęśliwa zdarzyła się okoliczność: raz w Grecji starożytnej, drugi raz u Serbów. U tych literatura ludu była oraz literaturą wszystkich—była literaturą narodową. To samo było w Polsce przed wprowadzeniem religii chrześcijańskiej;—ówczesna literatura była jedną tylko. Nietylko naród Polski, lecz wszyscy Słowianie mieli wówczas jedną tylko literaturę narodową. Po zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej nastąpiło rozdwojenie, które dziewięć wieków przetrwało. Literatura polsko-łacińska usunęła z widoku literaturę polsko-słowiańską. Związek literatury rodzimej z literaturą uczonych stał się za dni naszych“ (1).

Wyżej powołany Maciejowski nie pominął, jak to powiedzieliśmy, literatury ludu w *Piśmiennictwie polskim*,—owszem, z niej wyprowadził literaturę narodu (piśmiennictwo), a w połączeniu z tych dwu literatur (dwóch zwrotów) widzi zwrot trzeci, t. j. literaturę ludowo-narodową.

„Literatura polska, mówi (2), ważnem jest zjawiskiem w piśmiennictwie europejskim, przez to, że wyszła z łona ludu, a rozeszła się i zamieszkała wpośród narodu i podzielała obudwóch losy“. Tenże uczony przy zamknięciu drugiego tomu swego dzieła tak się wyraża: „Pytając o to lud, jak narodowi przechował polskie słowo, gdy nań zawsze, od X wieku poczynawszy, mocno nacierała cudzoziemszczyzna (?),—pytając o to narodu, co go spowodowało do przyjęcia tego słowa od ludu i do powierzenia go pismu,—pytając o to polskich uczonych, co ich skłoniło ku ludowej pieśni i opowieści,—zapisalem odebraną na to pytanie odpowiedź i na dowód rozwiązanych zagadnień wykażalem, rozumiem, dobitnie, że nasza literatura wcale odmiennym od literatur innych (weźmy naprzykład niemiecką i francuską) rozwijała się i rozwija trybem. Tamte bowiem nie wyszły jak nasza z łona ludu, nie rozwinęły się pod warunkami narodowości wyłącznie, lecz jako wypływ sztuki brały z niej po większej części początek i wzrost, z nią żyły i obumierały i po pewnym przeciągu czasu znowu wstawały zmartwych, by żyć dalej duchem wieszczów, którzy je stworzyli, od których istnienia zawisły były zupełnie, w których bycie i głosie swój byt i głos miały wyłącznie“ (str. 967—8).

Zdania powyższego nie możemy przyjmować literalnie, ale tłómaczymy je sobie w taki sposób, że początkowa nasza literatura więcej była społeczną niż artystyczną. A kiedy tak było, to tem więcej dziś, po tyłowiekowym postępie, starać się powinniśmy o silny związek literatury narodu z literaturą ludu—*ea quae sunt in usu vitaeque communi spectare debemus*. Mimo bowiem wywodów, że „literatura polska z łona ludu wyszła“ mimo zwrotu romantyków do pierwiastku ludowego, mimo zabar-

wiania tu i ówdzie literatury współczesnej odcieniem społeczno-ludowym; wiele jeszcze do prawdziwego związku braknie. A braknąć będzie dopóty, dopóki literatura ta nie stanie się dla ludu dostępną, interesującą i zrozumiałą.

Jedną tylko powinna być literatura, na którą obie poprzednie się złożą, jako dwa objawy jednej i tej samej przyczyny, organizacyi pewnej i dobrobytu w królestwie ducha. Naturalną jest rzeczą, że do takiego dobrobytu daleko bardzo, a przedział, jaki pomiędzy ukształconymi a niewykształconymi istnieje, byłby wielkim i widocznym jest, abyśmy o rychłej organizacyi powszechnej myśleć mogli. Przedział ten nie może być odrazu zniesionym, lud bowiem jako *prosty duchem*, nie jest w możności odrazu zrozumieć literatury warstw ukształconych; ale dlatego literatura ukształcona zbliżyć się do ludu powinna, oprócz się więcej jeszcze niż dotąd na tym pierwiastku, a mniej być fantazyjną i górnolotną ze szkodą prawdziwej wartości i piękności.

Poezyja nasza na niwie narodowości powstała, szybki jej wzrost atoli pod wpływem literatury łacińskiej nastąpił; później nastął wpływ francuzki. Pierwiastek rodzimy upadał pod przewagą poważnych i wyrobionych wzorów klasycznych i europejskich. Z hasłem dopiero romantyzmu zerwała poezyja nasza (podobnie jak inne europejskie) krępujące ją więzy naśladownictwa i rutyny. Chociaż nowe tory romantyzmu odpowiadały tentnom życia duchowego ludu, to przecież ta poezyja romantyczna, lubo jednym z najważniejszych jej części składowych jest pierwiastek ludowy, przesuwając się po większej części po wierzchu tego ludu, który w niej występuje więcej jako temat oryginalny, idylliczny, nowy, niż jako żywioł wołający o prawo do życia. To też poezyja, liryka zwłaszcza nasza, doszedłszy do tak wysokiego punktu w Mickiewiczu i jego szkole, nie ma już dzisiaj nowych oryginalnych twórców. Gama poezyi lirycznej już prześpiewana, a wielu większą siłą obdarzonych poetów w nowę znowu wyrwać usiłowało się światy, gdzie, szukając dróg nowych, giną czasem zprzed oczu zwyczajnego czytelnika (Słowacki, Garczyński, Sowa, Zmorski („Lesław“) Sowiński i in.). Najnowsi znowu poeci zwracają się do realizmu i często niezbyt szczęśliwie z prób takich wychodzą.

Czekamy nowego okresu w poezyi (1), którego hasłem będzie *miłość wszechludzka*, w której znaleźć mają odzwierciedlenie wszystkie pierwiastki życia całego narodu.

Dziś, kiedy minęły bezpowrotnie czasy naśladownictwa, chorobliwości i uwidzeń w literaturze, kiedy rzeczywiste warunki życia i rzeczywiste tylko potrzeby ducha mają się w sztuce pięknej odbijać, nie rozumiemy innej literatury jeno taką, której pierwiastek rodzimy, naturalny, źródłem, która nie z egzaltacyi i naśladownictwa płynie, ale na samych najwewnętrzniejszych prawach psychicznych się opiera. Prawa te jedne są dla gminu i dla nie-gminu. Wobec piękna, dobra i prawdy nie ma gminu i nie-gminu, są tylko ludzie. Ci, co najniżej stoją, najwięcej podnoszonymi być powinni.

Dramat nasz nie doszedł do takiej wysokości jak liryka, otwarte pole dla gieniuszu dramaturga, byle ten potrafił mniej być fantazyjnym niż Słowacki. Jeżeli nasza historia polityczna nie nadaje się do dramatu tak jak angielska, jeżeli w podaniach bądźto historycznych, bądź ludowych, mało znajdujemy dramatycznego pierwiastku,—to zachodzi pytanie: czy sam dawniejszy stosunek u nas chłopów do panów nie potrafiłby dostarczyć dramatycznych motywów? Dlaczego dziś jeszcze wyprowadzają się na scenę niewolnicy greccy?

Każdy utwór sztuki potrzebuje odpowiedniej formy, jeśli ma być przez ludzi zrozumianym. O formę zwłaszcza do utworów poezyi trudno w społeczeństwie tak uorganizowanym, jak społeczeństwo XIX wieku: poeci skarżą się, że połowa pieśni idzie z nimi do trumny. Czyż wierzenia ludowe, których treść dziś już całkiem spaczona, nie mogą posłużyć za tę formę, za przewodnika nowych po-

myślow i twórczości? Shakespeare genialnie umia w formę przesądów przybrać potęgi psychiczne. Rozumiemy co znaczą jego czarownice, wróżące królestwo Makbetowi, co znaczą duch ojca Hamleta albo duch Banka. Poeci w tem znaczeniu często wyprowadzają widziadła, duchy, chóry aniołów i czartów. Jak wielkiej sławy dobił się Andersen dlatego, że jego powiastki w formie oklepanych, dziecinnych nieraz opowiadań mieszcza podniosłe idee etyczne i społeczne!

Kto zna *zdrowy rozum chłopski*, jego drogi, jego charakter — i umie w ten rozum trafić, prędko go chłop nasz zrozumie. Szczep słowiański „poeta wobec innych plemion“ zostawił epopeję i pieśni, wiele bardzo poetycznych form wyrobił i zachował, miał wieszczów i czeka wieszczów (1). Bard donastrojony i wiele jeszcze nowych strun na nim nawiązać można, aby muzyka dla wszystkich zrozumiałą była.

Jeżeli Nowosielski powiedział: dopóty nie będziemy mieli wyrozumowanej Historii Literatury, dopóki nie poznamy dokładnie obyczaju, mytu, pieśni i bajki ludu (2), to *a fortiori* jeszcze powiedzieć można: dopóty nie będziemy mieli *ludowo-narodowej literatury*, jedynie rzetelnej w wieku XIX, dopóki nie wprowadzimy do świątyni wiedzy i piękna ludu i jego świata, dopóki twórcy w literaturze nie weielą w formy ludowi dostępne podniosłych prawd i idei, do jakich nas tyłowiekowy postęp ducha ludzkości doprowadził.

Władysław Nowicki

Dwaj myśliciele francuzcy

Z XVIII WIEKU.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 32).

Fontanna Hierona stłukła się, nim doszli do Chambéry; zamki na lodzie odrazu runęły. Bieda wielka doskwierała malcom. Towarzysz Rousseau'a, wiedząc od niego o pani Warens, kiedy doszli do Annecy, pożegnał się z nim i swobodę działania mu zostawił. Ta swoboda doprowadziła Jana Jakóba napowrót do pani Warens. Kobieta energiczna i uczynna przyjęła go chętnie pod swój dach; „ponieważ mi go Opatrzność poraz drugi nasyła, postanowiłam go już nie opuścić“ — były jej słowa do służącej. Autor Spowiedzi z życia mówi o niej, że pani de Longueville—pierwsza w czasie ulubieńca Ludwika XIV—na jej miejscu byłaby tylko zrzędną; ona zaś na miejscu pani de Longueville trzęsłaby państwem. Mieszkał więc Rousseau w domu pani Warens w latach 1731 i 1732. Nazywał ją *mamą*, sam od niej miał przezwisko *maty*. Próżnował, przerywając sobie próżniactwo czytaniem *Spektatora* francuzkiego, *Henryady*, Historii Puffendorfa. Był, jak mówi sam o sobie w jednym z listów, „naturą nawskroś próżniaczą“ (*éminent paresseux*), a z brakiem pracowitości łącząc jeszcze lekliwość, sprawiał na otoczeniu swoim wrażenie przerażająco złe. Towarzystwo pani Warens wróżyło mu w życiu conajwyżej godność plebana wiejskiego. Jakoż, przerobiwszy poprzednio protestanta na katolika, postanowiono teraz katolika urobić na księdza. Miejscowe seminarium Lazardów przyjęło Rousseau'a na naukę. Zamieszkał on tam stale i co niedziela tylko przychodził do swej opiekunki. Pobyt w seminarium posłużył mu do przekonania innych, że nigdy nawet księdzem nie będzie; do przekonania zaś siebie samego, że arya *Alfeusza i Aretuzy* więcej warta niż cała łacina, bardzo źle przez jakąś wstrętą osobistość wykładana, i że wreszcie wszędzie, gdzie tylko jest człowiek, znaleźć można zacne serce ludzkie. Wspomnienie dwóch księży katolickich, Gâtier i Gaime, złożyło się na obraz Wikarego Sabaudzkiego, w *Emilu* pomieszczony. Do tej epoki życia

(1) *Historia Literatury Polskiej*; T. I, str. 181, 2, 3. Porówn. tamże str. 37, 8.

(2) *Pism. 1. i.*; T. II, str. 620.

(Przypiski Aut.)

(1) Zob. Tyszyński: *Dwie Świtezianki*, czyli rzut oka na najnowszy okres poezyi polskiej. Warsz. 1871. (Przyp. Aut.)

(1) Ob. *Histor. Liter. Pols.* Wójcickiego. Warszawa 1859. Tom I, str. 35 i 39.

(2) *Lud ukraiński*. Wilno 1857. T. I, str. 236. (Przyp. Aut.)

Rousseau'a odnosi się przypisywane mu fałszywe świadectwo o cudzie z księdzem Bernex, biskupem w Annecy — świadectwo, którego on sam stanowczo wyprzeczyć nie może, zwalając je na wadłość swego charakteru, podówczas jeszcze młodzieńczego.

Niedoszły pasterz protestancki, osiadły na miełźnie ksiądz katolicki, miał teraz zestać muzykiem. Wziął go na naukę niejaki Le Maitre, Paryżanin, człowiek, któremu Rousseau przyznaje istotną znajomość uprawianej sztuki. Le Maitre był dyrektorem chóru w katedrze; pokłóciwszy się z księżmi, postanowił opuścić Chambéry. Pani Warens, gdy go nie mogła odwiedzić od tego postanowienia, dodała mu do pomocy w ucieszcze Rousseau'a. Powędrował więc nasz włóczęga do Lugdunu; ale nie znalazłszy tu dla siebie nie przeciągającego, opuścił tajemnie Le Maitre'a i wrócił do Annecy. Nie zastał już pani Warens, która wyjechała była do Paryża, i znalazł się znowu na bruku. Radził sobie rozmaicie, w istocie rzeczy żebracze pędząc życie. Jako towarzysz podróży panny służącej pani Warens w drodze do Fryburga Szwajcarskiego, wstąpił do Nyon, gdzie zamieszkał był po wygnaniu z kantonu genewskiego jego ojciec, Izaak Rousseau. Uczucia synowskie, nie będąc gorącymi, dobrze się jednak malują w Spowiedzi z życia. Na nowej tułaczce zmysł włóczęgowstwa na wyższym już przejawiał się stopniu. Dwudziestoletni młodzieniec zawitał do Lozanny jako wykolejony już z zawodu nauczyciel muzyki i w niejaki Perrotinie, pocziwmy pedancie, znalazł wiarę i pomoc koleżeńską. *Il faut faire bonne mine à mauvais jeu*: sam nie nieumiejąc, zaczął Rousseau drugich nauczać, i niemając wyobrażenia o kompozycji, której początki zaledwie od Le Maitre'a mógł przejąć, wystąpił przed miastem Lozanną jako kompozytor. Za wzór do naśladowania obrał sobie niejaki Venture, którego poznał był w Annecy — blagiera i poszukiwacza szczęścia taniim kosztem. Na podobieństwo jego nazwiska przezwano się „Vaussore de Villeneuve“. Ten Vaussore tedy napisał pewnego razu kantatę, którą uprzejmie wykonali amatorowie lozańscy. „Było to *charivari* — pisze sam Rousseau — jakiego nie słyszano odkąd istnieje opera francuska“. Mniemany nauczyciel muzyki zdradził się więc odrazu jako nieuk i awanturnik i przyznać się musiał do użytego podstępu. Dawał jednak ciągle lekcje i ucząc innych sam się uczył dopiero tego, co powinien był już wprzód umieć.

Myśl o „ukochanej mamie“ nie opuszczała Rousseau'a wśród wszystkich trzpiotów wieku i różnobarwnych przygód tułactwa. Tęsknił do niej i spodziewał się nowego połączenia. Z Lozanny zrobił wycieczkę dla odwiedzenia jej rodzinnego miejsca. Przed zimą 1732 r. wyjechał do Neufchâtelu, gdzie mu się lepiej wiodło niż w stolicy Kantonu Waldeńskiego. W okolicach tego miasta poznał się z jakimś Grekiem, „prałatem greckim i archimandrytą jerozolimskim“, zbierającym składkę po całej Europie na odnowienie Grobu Chrystusowego. „Prażat“ był oszustem i to niepospolitym oszustem; ale Rousseau nie mógł tego wiedzieć i zaciągnął się na jego służbę jako tłumacz. Przebiegł z nim kanton Fryburski, gdzie żniwo było nieszczególnie, i dotarł do Bernu, gdzie przed senatem z mową, jedyną publicznie wypowiedzianą w całym życiu, — z animuszem właściwym energii czującej się na fałszywym stanowisku — wystąpił. Święty człowiek wraz z sekretarzem swoim pociągnął dalej; miał zawitać do Węgier, a nawet do Polski. Zła gwiazda zaprowadziła go do Solury. Tu poseł francuski wykrył oszustwo mniemanego prałata, a Rousseau, uchodzący za Francuza rodem z Paryża, dobrowolnie wyznał całą o sobie prawdę, że jest biednym włóczęgą, szukającym kawałka chleba. Poseł przygarnął go do siebie, a jego sekretarz, wskazując mu pokój na mieszkanie, w te przemówił doń słowa: „Pokój ten zajmowany był za hrabiego du Luc przez człowieka sławnego, tegoż samego co i pan nazwiska. Od pana tylko zależy, abyś go pod każdym względem zastąpił i kiedyś ludziom mówić kazał: „Rousseau pierwszy, Rousseau drugi“. „Ta zgodność byłaby mi się mniej uśmiechała, gdybym był wiedział za jaką nabędę ją cenę“ dodaje Rousseau. Wkrótce jeden z urzędników poselstwa wyrobił mu miejsce do Paryża na

nauczyciela młodego Godarda, sposobiącego się do stanu wojskowego. Ze stu frankami w kieszeni i nominacją na tak ważny urząd, Rousseau, przy nadzwyczajnej wrażliwości swojej, widział się już przyszłym marszałkiem Francji. Schomberg miał krótki wzrok; dlaczegożby Rousseau, również krótkim wzrokiem upośledzony, nie miał być jak Schomberg marszałkiem! Taka była logika fantazyi, malującej chłopcu przyszłość. Widok pół rozważał odrazu te kilkodniowe marzenia. Niestalość, wskutek bezładu panującego w uczuciach, była niepojętą w tej naturze. O wyobraźni swej powiedział Rousseau na jednym miejscu swych *Zwierzeń*: „Niepodobna jest ludziom, a trudno samej nawet naturze, zadowolić jej wymagania“.

Paryż nie podobał się włóczędze, mniej jeszcze pan Godard ojciec i pan Godard syn, i całe ochmistrzostwo odrazu go niechętnym dla siebie znalazło, gdy się go bezpośrednio dotknął. Nie zagrzeżał też miejsca w stolicy Francji, i z pustą prawie kieszenią, piechotą wyruszył z powrotem do Szwajcaryi. Tu, w tej wędrówce, doznał wrażenia, które rzuciło jakgdyby podwalinę dla jego miłości demokratycznej, później przez rozum w teorię państwową ujętej. Wstąpiwszy do wieśniaka dla posilenia się, zrazu nic więcej nie otrzymał prócz lichego kawałka chleba jęczmiennego i mleka, ale później, opowiedziawszy swe przygody, poczęstowany został winem, szynką i chlebem pszennym. Wieśniak wyniósł te wszystkie przysmaki z piwnicy, gdzie je, według słów swoich, przed rozmaitymi dozorcami i rabusiami feodalnymi trzymał. Dopiero Turgot w r. 1776 uwolnił wieśniaka francuskiego od ucisku i samowoli panów; ale zanim do tego przyszło, wprzód rozum myślicieli, sprzysiężony z duchem zbliżającej się sprawiedliwości dziejowej, uciskanych niewolników na miejscu uciskających panów postawił. Spokojne reformy Turgota miały się zakończyć olbrzymim całopaleniem z miliona ofiar. Rousseau takiej okropności nie chciał, ale myśli Rousseau'a do takiej okropności przyczyniły się.

W Lugdunie otrzymał wiadomość o pani Warens: była w Chambéry. Zgłosił się do niej raz jeszcze i czekał odpowiedzi. Tymczasem głód cierpiał i noce przepędzał pod gwiazdzistym sklepieniem niebios. Jakiś pan Rolichon, maniak śpiewaczy, dał mu nuty do przepisania: Rousseau źle je przepisał, pomimo to swoje dostał, i tak doczekał się stanowczego wezwania od „mamy“ i pieńdzy na drogę. Z niepokojem zatem, z nieodstępną gorączkowoscia, wyruszył do Sabaudyi. Od tam już nigdy nie miał zaznać i istotnie nie zaznał, nędzy i głodu. Pani Warens pomyślała o jego losie, wprzód jeszcze, zanim ją przeznaczenie poraz trzeci z nim złączyło. Wyrobiła mu miejsce sekretarza pomiarów kadastrowych, zarządzonych przez Wiktora Amedeusza II-go. Pensya była mała, ale dawała byt uczciwy — pierwszy chlebek nie za uczucia, ale za pracę, zyskany. Szkoda, że go tak prędko sam Rousseau porzucił, szkoda, że nie umiał wytrwać na stanowisku, które i w jego własnych oczach i w oczach świata, przy zależności od pani Warens, dawało mu puklerz dla jego męskiego honoru! Lecz ze wszystkich uczuć składających charakter, to właśnie uczucie honoru w duszy Rousseau'a było najślabszym, i więcej nawet powiemy: na kilkuset stronicach jego *Confessions* prawie że spotkać się z uczuciem tem nie można. O ileż wyższym jest wiek dzisiejszy, o ileż dziś rzadsze wypadki, w którychby ludzie z taką inteligencją jak Rousseau, tak daleko jak on odbiegali od wymagań rzeczywistej moralności, w której ideowa miłość dobra łączy się zawsze powinna z osobistą miłością godności własnej! Jak życie Voltaire'a, tak i życie Rousseau'a naprowadza na myśl, że mimo krzyków czasy dzisiejsze lepszą mają moralność niż dawniejsze, zwłaszcza w epoce takiego zepsucia, jakie się za Ludwika XV rozpleniło po Francji — i krajach obyczajem francuskim żyjących.

Od końca 1732 do 1741 r. Rousseau mieszkał stale w Chambéry. W czasie tym zawiązały się z opiekunką stosunki wcale nieopiekunckie, choć je pani Warens za takie przedstawić usiłowała. Kobieta o dwanaście lat starsza, wprowadziła Rousseau'a w świat, który mu dotychczas obcym był — w świat miłości, wywzajemnianej, pełnej, szczer-

ściem darzącej. „Serce moje otwarte było przed nią jak przed Bogiem“ woła w swych *Zwierzeniach* słaby charakter, drżący jak liść na wietrze. Jaskrawą oryginalność owemu stosunkowi nadawał współczesny pobyt w domu pani Warens Klaudyusza Anet, jej służącego i intendenta. Wszystko troje żyli w doskonałej zgodzie, a w jaki sposób? — to już tajemnica XVIII wieku i jego obyczajowości. Wolno powątpiewać o prawdziwości słów Rousseau'a, że skoro Sokrates mógł szanować Aspazję, musiałby uszanować i panią Warens.

W Chambéry Rousseau wiele czytał, i wiele, ale bezładnie, nad wzbogaceniem umysłu swego pracował. Szedł, choć niedostatecznie, za współczesnym ruchem umysłowym we Francji; wziął się do matematyki; studiował Euklidesa, Reynauda, Rohaulta, Lamy'ego, *Encyklopedye*; z filozofów czytał Leibnitza, Kartezjusza, Locke'a, Malebranche'a, i *Logikę* Jansenistów. Zajmował się praktycznie botaniką, w której Anet był bardzo rozmiłowanym, i pani Warens marzyła już dla nich o założeniu w Chambéry królewskiego ogrodu botanicznego. Zaczepił o fizyologię i anatomię; powrócił do pachoległego jeszcze zajęcia, z czasów nauki rytownictwa, do rysunku; zaczął się zabawiać fizyką; zapalił się wreszcie do szachów: wszystkiego potrosze — z każdej strony coś uszczknął; nieokleczana natura wszystko w żarłoczności swej pochłaniała, co jej wrażenia poddały. Nad wszystkimi jednak pociągami górowało zamiłowanie do muzyki. Zdawało mu się konieczne, że będzie kiedyś muzykiem. Sprowadził sobie traktat Rameau'a *O muzyce* i śleczył nad nim bez przerwy. Znajomość z jakimś księdzem Palais rozszerzyła jego wiedzę muzyczną. W Chambéry wpadł Rousseau na wyznalezek pisania nut liczbami, co go później do Paryża ściągnęło, przez co też wszedł w ówczesny świat inteligencji francuskiej. Tak zapalony muzyk musiał być bardzo zimnym sekretarzem pomiarów. Sprzykrzyło mu się stałe zajęcie i pewnego dnia pobiegł do swego zwierznika z prośbą o uwolnienie; otrzymał je bezzwłocznie i zaczął dalej żyć na łasce pani Warens. Dawał wprawdzie lekcje w mieście, ale z nich miał więcej wrażeń w sercu niż grosza w kieszeni. Śmierć Aneta uczyniła go marszałkiem dworu „mamy“; poznał, że dwóch ten stoi na trzęsawisku ruiny majątkowej, i stał się oszczędnym, nawet skąpym, ale wszystko napróżno: pani Warens w niczem oszczędności nie znała. Później Rousseau oddał jej całą prawie swoją schedę macierzystą, lecz była to tylko kropla w morzu. Ostatecznie dawna opiekunka Rousseau'a, zdala już od niego i mimo jego pomocy, w nędzy konać musiała.

Doświadczenia fizyczne o mało co nie przyprowadziły Rousseau'a o utratę wzroku. Wpadł później w chorobę, która długo go trapiła i zniewoliła panią Warens do przeniesienia się w okolice miasta na letnie mieszkanko — gdzie mógł łatwiej wydobrać. Miejscowość ta, *Aux Charmettes*, odpowiadała *Aux delices* Voltaire'a, ale tylko nazwą samą, wcale nie tą treścią człowieczą, jaką Voltaire mieszkankę swoje zapełnić umiał. Rousseau rozchorował się na dobre dopiero w zaimprovizowanym dla siebie przez panią Warens domu zdrowia. Rozpaczal już o życiu, a gdy niemoc nie ustępowała, wyśłany został jako chory na polipa w sercu, do Montpellier do jednego ze sławnych tamtejszych patologów i terapeutów. Wyniki tej podróży były nadspodziewane a przygody niezmiernie romantyczne. Nie dojechał jeszcze Rousseau do Montpellier, kiedy go z polipa owego wyleczyła niejaka pani Larnage. Niemając co robić w południowej Francji, po krótkiej spłęzłej na niczem próbie oddania się anatomii — w prosektoryum miasta, do dziś dnia trzymającego pierwsze miejsce wśród ognisk wiedzy medycznej w Europie — powrócił do Chambéry.

Tu zastał już miejsce swoje zajęte: pani Warens znalazła równoważnik dla swych uczuć w sercu jakiegoś fryzyera, syna stróża w Chillon, który z Vintzenrieda przezwął się „Monsieur de Courtelles“. Rousseau nie umiał poznać rzeczywistej prawdy stosunków, ale teraz już w tym domu paliło go pod stopami. — Uczynna, opiekuńcza pani Warens wyrobiła mu miejsce nauczyciela w Lugdunie u państwa Mably i w ten sposób na cały rok go się pozbyła. Nieumiejąc z obowiązków swych

należycie się wywiązać, Rousseau powrócił po roku do Chambéry. Teraz dopiero otwarły mu się oczy na wszystko: rozstać się musiał na zawsze. Zabrał swój wynalazek pisania nut i wyruszył do Paryża, aby go przedstawić Akademii. Miał już wtedy lat 29, a nie był jeszcze niczem na świecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

AKT III.

(Scena przedstawia okolicę górzystą, na lewej stronie skały i wązkie przejście, w dali góry okryte lasami—*rano*).

Scena I.

Giacomo z jednym z korsykańskich górali, później wchodzi inni.

Giacomo

No, jakże, czy słyszałeś o tem, co mówią w Ajaccio, w Corte, ot prawie w całym kraju?

Pierwszy Korsykanin

O czym? czy o tem, że nasz waleczny Sampierro...

Giacomo (*przerwywając*)

Tak, tak, o nim właśnie. Smutne czasy: ktoby się był spodziewał! Co się też—to na świecie nie dzieje! Niedawno był na samym szczycie potęgi, i zdawało się, że wkrótce ani nogi genueńskiej na naszej ziemi nie będzie, a teraz.... Ha, no, cóż robić! Fortuna kołem się toczy;—dziś na górze, jutro w dole—ale ciekawa rzecz, jak się to skończy....

Pierwszy

Co się skończy! co się ma skończyć!

Giacomo

A no, z tem ogłoszeniem Dorii.... bo-to widzisz, są różni ludzie na świecie.

Pierwszy

A zapewne, że różni.

Giacomo

Są jedni, co leżą na złocie i garncem mierzą perły i dyamenty, a są inni, tak ot jak my, biedacy....

Pierwszy

Więc cóż?.... cicho, ktoś idzie. (*Wchodzi dwóch innych*). A, to z naszej wioski—dzień dobry, gdzież to Pan Bóg prowadzi tak rano?

Drugi

Tu przychodzimy. Giacomo nas wezwał; stajemy na jego wezwanie.

Giacomo

No, właściwie nie wzywałem was, nie jest to żadna schadzka, ani zмова... tylko, ot tak, wspomniałem,—że dobrzeby to było porozumieć się trochę. Bo—to widzicie, jak się ludzie z sobą zawczasu naradzą, nigdy ich nie nie przerazi; wiedzą zawsze co mają zrobić, czego się lękać a czego spodziewać, i już nie błądzą jak ślepi, bo znają dobrze drogę swoją.

Pierwszy

Dobrze mówi.

Drugi

I mądrze.

Trzeci

Bo też Giacomo mądry człowiek.

Giacomo

Hm.... prawdę mówiąc, Pan Bóg mi rozumu nie poskapił, i mądrym mnie nazywano, dopóki byłem najbogatszym we wsi.... lecz teraz, gdy została mi ot torba dziadowska....

Trzeci

Co? zbiedniałeś, Giacomo? oj nie bardzo mi jakoś chce się w to wierzyć.

Giacomo

Wiercie: prawie wszystko straciłem przez tę wojnę. Oj, ta wojna, ta wojna!—wszystkim dała się we znaki. Ni życie, ni mienie, ni dom, ni plony w polu—nie masz swego, choć niby to wszystko twoje! Kładziesz się spać, a nie wiesz czy jutro wstaniesz.... patrzysz na ranną zorzę, a nie wiesz czy wieczorną oglądać jeszcze będziesz. Głód, nędza, rabunek, wloką się za tą wojną, niby smocze ogony i niszczą to, co jeszcze nie zniszczone. I dopókiż tak będzie? dopókiż?!

Drugi

Dopóki nie wybijemy się zpod przemocy Genui.

Giacomo

O nie myśl, że to wystarczy. — Choćbyśmy się nieproszonych gości z Genui pozbyli, co jest bardzo wątpliwem, to i tak jeszcze spokoju w kraju nie będzie, ale przeciwnie, będziemy mieli czasy dziesięć razy, ej gdzie tam, sto razy gorsze, od dzisiejszych.

Czwarty

Dlaczego gorsze? tego-to już nie rozumiem.

Giacomo

Bo się Sampierro wtedy ogłosi królem.

Pierwszy, Drugi i Trzeci

Co, Sampierro chce się królem ogłosić?

Czwarty

Nie, do tego nigdy nie przyjdzie. Korsyka Rzeczpospolitą być musi.

Pierwszy

Tak, rzeczpospolitą jak Genua i Wenecya.

Drugi

Jak tyle innych wolnych miast i krajów.

Pierwszy

Słyszałem, że już w Corte wołano: Niech żyje „król Sampierro“—a on nie chciał tego, i....

Giacomo

Nieprawda, on tej Włoszce, z którą się tem za morzem ożenił, przyrzekł, że będzie królową.

Drugi

On miałby królować nad nami, on, jeden z pomiędzy nas i równy nam?—nigdy!

Trzeci

I cóż nas ochronić zdoła?

Giacomo (*wpół cicho*)

Parę uderzeń sztyletu.

Drugi

Aha!.... teraz wszystko rozumiem, parę uderzeń sztyletu, za które Doria zapłaci.

Trzeci

I to dobrze zapłaci—niema co mówić!.... dziesięć tysięcy skudów! Za....

Giacomo

Za robotę jednej chwili.

Czwarty (*do Giacomo*)

I ty, ty, Giacomo, myślisz o tem?

Giacomo

Czemu-bym nie miał myśleć? Bóg dał nam rozum na to, abyśmy myśleli o tem, co nam korzyść jaką przynieść może. Słuchajcież: dziś lub jutro Sampierro zginie, bo zginąć musi i powinien.... czemużby kto inny wziąć miał przyrzeczoną nagrodę, a nie my?

Czwarty

Bierz-że ją sobie ty sam, i z szatanem do spółki! Ja się nie chce tem plamić.

Giacomo

Złoto czyste, czysciuteńkie, nie splami ręki, która je weźmie.

Czwarty

A krew....

Giacomo

Krew się prędko zmyje.

Drugi

I rzeczywiście on o koronie zamyśla?

Giacomo

Taki jest głos powszechny — dlatego pomiędzy ludem nieufność, szemranie, niechęć. Tak, tak, moi mili, i jeśli temu nie przeszkodzimy, niedość, że króla,—tyrana mieć w nim będziemy.

Czwarty

Sampierro tyranem! On tak dobry, zacny, szlachetny....

Giacomo

Takim jest dziś, bo potrzebuje ludu — ale niech-no osiągnie cel życzeń swoich, zobaczycie, że ostatni nasz grosz na podatki pójdzie. Bo to, widzicie, ja bywałem w świecie, i wiem jak się to dzieje. Milionów dla króla, dla królowej, dla dam honorowych, dla orderowych panów—na złote cacka, festyny, polowania, oświetlenia i inne jeszcze wydatki. A skąd owe miliony powstają? Z krwi i potu ubogiego ludu.

Czwarty

Sampierro królem, tyranem: nie, to chyba być nie może.

Giacomo

A wiecie jakie prawo wydała Rada rządząca, wczoraj, na ostatniem posiedzeniu, i to z jego woli?

Czwarty

Jakie prawo?—nie wiem.

Giacomo

Otóż to bardzo źle, gdy kto spoczywa wygodnie w cieniu własnej winnicy, a nie troszczy się o sprawy publiczne. Wy sami nie wiecie co się w świecie dzieje, a nie chcecie słuchać tych, co widzą przecie dalej niżli koniec nosa. Otóż słuchajcie i przyznajcie mi: czy zpod przyłbicy Sampierrą, już przyszły, krwi cheiwy, tyran nie wygląda? Wczoraj ogłoszono w Corte, że ktoby tylko śmiał radzić układy i zgodę z Genuą, ktoby widywał się z żołnierzami Dorii, ktoby w czemkolwiek ułatwiał im zwycięstwo, lub jakiekolwiek miał z obozem wrogów stosunki—ma być uważanym za zdrajcę ojczyzny i skazanym na śmierć. (*Chwila milczenia*).

Drugi

Więc za najmniejszy objaw przychylności dla Genui,—wyrok śmierci?

Giacomo

Tak, przez osobny sąd Dziesięciu. Wczoraj wydano, i zaraz wykonano, dwa takie wyroki.

Drugi

Topór zawieszony nad naszymi głowami.

Giacomo

Tak, bo wszyscy jak tu jesteśmy, radziliśmy o zgodzie, i rzekliśmy, że lepszy byłby pokój niż wojna.

Drugi

A zapewne....

Giacomo

Cicho! nie mów tego, bo śmierć! Otóż słuchajcie, bracia, podajmy sobie ręce, i starajmy się o pozyskanie nagrody, którą obiecuje Doria. Nikt z osobna na to się nie odważy.... choćby go śpiącym i bezbronnym zastał.... ale tak w kilku.... Ot w ręku mamy szczęście i majątek, a przytem, — bronimy własnego życia.

Drugi

Tak, bronimy własnego życia — bo tak surowe prawo....

Giacomo

Więc zgoda?

Pierwszy i Drugi (*podają mu rękę*)

Zgoda. Lecz gdzie i kiedy?

Giacomo (*patrzy na Trzeciego i Czwartego*)

Gdzie i kiedy?—powiem... ale nas trzech to mało.

Pierwszy

Cicho! ktoś idzie. (*Wchodzi piąty Korsykanin*).

Piąty

Bracia! Sampierro nie żyje!

Wszyscy

Nie żyje? co, nie żyje?

Giacomo

Nie żyje? co za szkoda!

Piąty

Powiedz raczej: co za nieszczęście!

Giacomo

Ah, prawda—nieszczęście.... I któż wziął....

Piąty

Ową krwawą nagrodę? Chwała Bogu, że zapłatę Judasza wezmą żołnierze Dorii, którzy zrobili zasadzkę w wąwozie, gdzie Sampierro po długiej, szalonej obronie, zginął.

Giacomo

Więc to Dorii żołnierze!

Piąty

Żaden z naszych tą zbrodnią się nie splamił.

Giacomo

Każdy człowiek rozumny mi przyzna, że dla Sampierro zupełnie wszystko jedno, z czyjej tam ręki zginął—czy tak, czy owak—ciało pójdzie do dołu, a jednak....

Piąty

Milcz, podły!

Giacomo

Milczec? dlaczego? wczoraj ty nie milczałeś—mówiłeś sam przeciwko niemu.

Piąty

Tak jest, mówiłem przeciwko niemu jak niezrozumne bydlę, bo mnie rozdrażniła przegrana. Tak jest, wczoraj powtarzałem słowa wiejskiej gawiedzi, co włócząc się po rynkach, językiem tylko z wrogiem walczy, zwycięzcy pochlebia a zwyciężonym uraga!

Czwarty

Gdzież się to stało i kiedy?

Piąty

Wczoraj wieczorem, czy w nocy, gdy Sampierro, po skończonym posiedzeniu Senatu, poszedł w góry. Gdzie, nie wiem dobrze... mówią, że Doria tu gdzieś niedaleko.

Czwarty

I któż ci o tem mówił?

Piąty

Arnoldo i Luigi.

Czwarty

Cóż się teraz z nami stanie? co będzie z dziećmi naszymi, kiedy Sampierro nie żyje? Biada nam! Lepiej nam było zginąć wraz z tymi, co śpią pod zieloną mogiłą, niż żyć pod jarzmem przemożnej i dumnej Genui.

Piąty

Genua dziś wodza naszego wyjęła zpod prawa, i zrobiła obławę jak na dzikiego zwierza. Jutro na nasze głowy znowu nałożą cenę.

Czwarty

Ale płacić nie będą jak po cekinie za sztukę. O nie złakomisz się pewno na moją głowę, Giacomo! (*Za sceną słychać głos rogu*).

Trzeci

Co to jest? słyszycie?

Piąty

To jakby róg Sampierro.

Czwarty

Tak, to jest róg Sampierro! Tylko jego piers szeroka dźwięk taki z rogu wydobyć potrafi.

Trzeci (*do Piątego*)

Więc to, co nam mówiłeś?....

Piąty

Widać, że było tylko fałszywą pogłoską.

Czwarty

Niech będzie Bogu chwała... patrzcie, oto on sam schodzi z gór.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

POŁĄCZENI NA ZAWSZE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę Polko

przełożyła

Ewelina Kłoskowska.

(*Dalszy ciąg*).

Jak przestępstwo jakie ciąży na mnie to przekonanie: że mogłam żyć dotąd jak głaz, bez uczuć

żadnych. A przecież kogoż miałam i mogłam kochać? Czy człowieka, którego żoną zostałam i który natenczas, gdy nad trumną matki stałam i w rozpacz, w uczuciu sieroctwa, przytuliłam się do niego z prośbą: „Kochaj mnie tak, abym to czuła!” odpowiedział z uśmiechem:—Egzaltowane dziecko! Poznałam nadto wcześnie, że on, prócz siebie, nikogo więcej kochać nie może i że jestem dlań jedynie najwykwintniejszą ozdobą jego domu. Amnie biednej trzeba, o trzeba było zawsze ciepła i miłości, przecież nie, nie do kochania nie dostałam od Najwyższego: ani dziecka, ani żadnego czującego serca! Mijały lata, żyłam jak we śnie, i zdawało mi się, jakby śmiertelna apatya, jakby zimno kochania, opanowywało serce me biedne. Książę wyrwał mnie z tego letargu, jego wielki talent muzyczny dotknął mnie niby ożywcza iskra, i stało się, jakoby lodowata powłoka pękła. Nawet jego hołd, oddawany mej osobie w sposób inny, szlachetniejszy, niż to czynili inni, sprawiał mi przyjemność. Polubiłam tego człowieka, lecz niechże nikt, nikt nie myśli, aby coś innego mogło zapalić się w mej piersi!! Zobaczywszy Wacława uczułam to jeszcze silniej, jeszcze wyraźniej, że tylko jego, jego jedynie mogę kochać. Tak: nikt, nikt inny nie może nigdy zamieszkać w sercu mojem....

Później.

Wczoraj poraz pierwszy mówił ze mną o księciu. Było to na tańczącym wieczorze u Krzczakowskich. Gdy tańczono mazura, siedział za mojem krzesłem w pobliżu drzwi salonu. Prosiłam go właśnie, aby następnego wieczora był u nas, gdyż mała muzyczna kompozycja księcia miała być próbowaną, a on zapytał nagle:

—Dlaczego książę tak często bywa u państwa?

—Bo grywamy razem, a ja tak lubię muzykę i potrzebuję go... odparłam.

—Pani go potrzebujesz? to jakoś dziwnie brzmi

—Więc się inaczej wyrażę:—rzekłam—Jego towarzystwo jest mi przyjemnem, a muzyka jest dla mnie rzeczą nieodzowną.

—Któżby śmiał wzbraniać pani muzyki: czemu przecież on zawsze, i on jedynie, ją przedstawia? odparł prawie surowo.

—Muszę także mieć koło siebie jakąś istotę z uczuciem, zawołałam, a on spojrzał uważnie:—Czy wie pani przecież, że zrobiłaś wybór, który ściągając ogólną uwagę? zapytał:—Co mnie może obchodzi gadanina plotkarzy, tłumu, który świat zwykł zwać ludźmi? odpowiedziałam.

—Powinnaś pani jednak unikać złych pozorów; to stanowi obowiązek godności kobiecej—rzekł.—Był coraz bardziej seryo, a ja coraz dumniejsza.

—Mój mąż sam przecie wprowadził księcia w nasz dom i on sam najczęściej go zaprasza—odparłam sucho.

—Czy jednak państwo odgadujecie, co ludzie mówią? Mówią, że książę kocha się w pani? ozwał się zeicha, ale z wielką goryczą w głosie.

—Tego nie wiem, ale myślę, że mąż mój żartowałby z tego przypuszczenia, co do mnie zaś... tu urwałam.—Co do pani? powtórzył, a głos był zmieniony, gdy mi to pytanie zadawał.

We mnie zaś odezwał się jakiś dziki rodzaj rozpacz i odpowiedziałam cierpko:

—Kto wie czy nie powinnam być wdzięczną za to, iż mnie ktoś kocha!

W tej chwili p. Strusiowa przerwała naszą rozmowę swoim zbliżeniem się; słyszałam jak Wacław powstał i obrócił się, by popatrzeć za nim. Wydał mi się śmiertelnie bladym. Potem już go na wieczorze więcej nie widziałam, a dziś na posłane mu zaproszenie kazał odpowiedzieć, iż służyć nie może.

Później.

Czy też choć isierka dawnej miłości tli w nim? Czy terazniejsza Jadwiga mogłaby mu jeszcze być choć na chwilę tem, czem była dawniejsza? Czy byłoby to rzeczą pożądaną? A jednak tak-bym pragnęła przekonanie o niezmienniej jego miłości jako pociechę i talizman w sercu swem nieść, podczas tej długiej pielgrzymki przez puszcę życia! Ale tajemniczy jest, milczący i zagadkowy zawsze, jak sfinx. Tak umie panować nad każdym swem poruszeniem i nad każdym słówkiem! Czasami widocznie smutek zasępia mu czoło, jak chmura gra-

dowa, usta zdradzają cierpienie i to najczęściej w czasie muzyki, znać, że jedna tylko muzyka zdoła go jeszcze wzruszyć! Wiem przecież, że nigdy, nigdyby tego nie wyznał, że mnie nie zapomniał.

Później.

Dzisiaj na koniec po ośmiu długich, nudnych dniach był znowu u nas. Niewymownie cierpiałam przez ten czas. Powiedział, że był słabym! I musiał tak być, gdyż wydał mi się zmienionym. Tak mu jawnie okazałam moją radość, moje szczęście z jego widoku, że aż rozśmiał się ze mnie i rzekł: —Dziecko! Dziecko. Lecz taki smutny był ten uśmiech, że aż wywołał łzy w mych oczach. Nie wiem już nawet, co mu powiedziałam w pierwszym wzruszeniu.

— Czy rzeczywiście tęskniłaś pani trochę za mną? zapytał wtedy łagodnie.

Serce groziło mi gwałtownym pęknięciem i tylko popatrzyłam się na niego. On zaś szybko się odwrócił. W tem nadszedł książę; wysłałam na przeciw, a Waław poszedł do mego buduaru. Cały świat był mi dzisiaj nieznośnym: ludzie, rozmowa, muzyka, lecz książę najnieznośniejszym ze wszystkiego.

Wszystkie moje myśli były przy nim, przy biednym, samotnym Waławie! Jak nienaturalnym, jak przykrym jest nasz stosunek! Dlaczego nie powiedział mi ani słówka pojednawczego, ani słówka, któreby było przebaczeniem przeszłości. Nigdy żadnego zapytania o mój byt, o moje szczęście o dołę czy niedołę? Czy on pogardza mną, albo—czy może kocha biedną Jadwigę?

Chaos myśli i pytań krążył mi po głowie, chaos boleści i tęsknoty niewymownej napęlił mi serce. A podczas tego książę siedział przy mnie koło kominka, mówiąc coś niezrozumiałego, inni goście, rozmawiając i śmiejąc się, przechadzali się po salonie. My byliśmy jakoby dwoje odosobnionych, szczęśliwych.

Śczęśliwych?! Nigdy może nie czułam się nie-szczęśliwszą niż w tej chwili, nigdy nie czułam żywszej ku Waławowi miłości.

Tak, kocham go! klamstwem to jest, jak ogólnie utrzymują, że kobieta łatwiej zapomina, łatwiej przewycięża się niż mężczyzna!

Resztę wieczoru Waław był zimniejszym, bardziej szorstkim, bardziej odosobniającym się niż kiedykolwiek. Spoglądałam na niego często z przestachem, gdyż uśmiech jego był tak wymuszonym, mowa tak głośną: wydał mi się dziwnym.

Później.

Cudownie piękna jest przypowieść: „Sznuj dzień świąteczny, czyli Sabat twego serca, abys go święcił, a gdy chcą odwiedzić cię od tego, to się oddal od takich, albo gin!”

Nie szanowałam tego święta, gdy dla mnie nadeszło, myślałam, że spełniam przez to ofiarę i uczynek dobry, że postępuję według przykazań Bożych!...

Gdyby przecież raz jeszcze zabrzmiały dzwony świąteczne! Czyż nie byłoby to powinnością oddać się od tych, którzy przeszkadzają mi do świętowania? Cóżby on odpowiedział, gdybym go tak zapytała?

Później.

Jeszcze drzę cała ze wzruszenia! Rozmowa dzisiejszego wieczora zwróciła się przypadkiem na nierozdzielność małżeństw. Ścierały się w tym przedmiocie rozmaite zdania; przysłuchiwałam się temu jak we śnie.

— Separacja jest tylko w nader rzadkich wypadkach usprawiedliwioną, ale rozwód nigdy—ozwał się naraz Waław.

— Nawet i wtenczas, gdy związkowi braknie wyższego poświęcenia, zobopólnej miłości? zapytał ktoś z przytomnych. —I wtenczas nawet—odparł—bo jeżeli nie wiąże serce miłości, to obowiązkiem jest dotrzymać danego słowa.

— Gdy przecież serca obumierają z braku miłości, gdy wtedy, u kobiety szczególnie, najlepsza część jej istoty ginie, gdy żaden promień słońca nie oświeca jej drogi, gdy to, co jest treścią jej istoty, zostaje nierozwiniętem i ztąd nie może już ona być tem, czem być jest przeznaczeniem jej życia,—czy i natenczas także żadnego zmiłowania?!

— Nie!—niech lepiej ginie, jeżeli to tak nazwać mamy. Wewnętrzne przekonanie, że nie zboczyła

z drogi uczciwego obyczaju, że dotrwała w obowiązku, powinno jej dać siłę i nagrodę.

— Czy przecież taki opór, stawiany sercom, nie prowadzi wielu do niemoralności?

— Rozwód sam już jest niemoralnością — zawołał gorąco Waław. Rozwiedziona, czy separowana kobieta nosi już suknię pokalaną, a tylko taka, która umie zostać bez skazy, może być przez szlachetnego mężczyznę prawdziwie szanowaną, ubóstwianą, kochaną!

O jakże on jest surowym i okrutnym! wołało wtedy serce moje we mnie. On mnie nigdy, nigdy nie kochał!

Później.

— Chcę uciec od niego, chcę go się wyrzec!—Niech mnie przynajmniej szanuje, jeżeli mnie już więcej nie kocha.

O Boże, jak łatwą rzeczą zdaje mi się umrzeć dla niego, a tylko niewymownie trudno żyć bez niego! Dla czegoż Pan Bóg znowu go na drodze życia mego postawił?

— Czy jeszcze mało cierpiałam??

Kawalerski obiad, złożony przeważnie z samych przyjaciół księcia, opóźnił znacznie godzinę tygodniowego zebrania u Górzyckich; dlatego Waław poraz pierwszy zastał Jadwigę całkiem samą. Przyszedł nawet wcześniej niż zwykle, gdyż postanowił powiedzieć jej rzecz ważną: prośba o przeniesienie została dnia dzisiejszego wyprawioną przezeń na pocztę. Postanowienie to zrobił nagle w nocy.—Chcę i muszę unikać jej—mówił sobie.—Jadwiga zaczynała pomału zajmować wszystkie jego myśli w sposób, który go przestraszał. Tysiące jakgdyby ogniwi łańcucha wiązało go i ciągnęło do niej. A dawniejsza miłość stała jak dziecko z uśmiechem, gotowa do walki z jego zasadami, potrzasała głową na wszystkie przekonania, z którymi wzrósł, i wszystkie jego postanowienia, jakby zabawkę, niszczyła. Im częściej to sobie powtarzał, że terazniejsza Jadwiga zaledwie podobna jest trochę do tej słodkiej dziewczyny, którą pragnął niegdyś nazwać swoją i chociaż ciągle i ciągle robił usiłowania, aby to wmówić w siebie i uważać ją jako własność innego, tem potem mocniej odgadrywał historię jej serca, którą z ocz jej czytał, którą zdradzało brzmienie jej głosu, ruch każdy. Bezustanku odzywało się w nim pytanie: —Jaką też byłaby się stała przy tobie? i jaką jeszcze mogłaby stać się z miłością twoją?

— Olbrzymią siłą zwyciężał chęć rozmowy z nią i pilnie unikał każdego sam na sam z panią swych myśli.

Zdawało mu się, że te różowe usta musiałyby kiedy otworzyć się słowami wyrzutu: — Czyż nie widzisz mego nieszczęścia? Czy nie chcesz mnie ratować, dopóki czas jeszcze? Przecie mnie niegdyś kochałeś; czy nie masz nademną litości?! A któż może ją mieć, jeżeli nie ty, którego kocham? Jam była jeszcze dzieckiem, gdy mój byt i szczęście powierzyłam człowiekowi, który właściwie nie potrzebował mnie, tylko żony; który nie troszczy się o moje serce, ale o moją toaletę; nie dba o mego ducha, ale stoi pilnie na straży tego, abym była damą wielkiego świata, godną domu jego reprezentantką. Rozłączenie się moje z nim nie zatrudoby mu ani jednej godziny życia, byłby to, co najwięcej, mały nieporządek, powstały w domu jego po moim odejściu. Kocha mnie tylko o tyle, o ile widzi, że inni hołd oddają jego własności; każda inna piękna i młoda kobieta zastąpiłaby mnie całkowicie. A ja muszę uschnąć, gdy przy nim zostanę—bez ratunku! Któż ma mi podać rękę do wybawienia, jeżeli nie człowiek, który mnie niegdyś kochał!?

I od czasu do czasu próbował nie widywać się z nią, stronił natenczas od domu Górzyckich i nie ukazywał się w towarzystwach, w których mógłby spotkać Jadwigę; ale długo nie wytrzymał takiego dobrowolnego wygnania i potem wchodził znowu raptem do pysznego salonu, błądy i smutny, i spotykał z przestachem i zachwytem te ukochane oczy, których wyraz zdawał mu się mówić: „Szczęście moje znowu się zjawiło!”

A delikatna postać Jadwigi ukazywała się natenczas jakby przepełniona nadziemską radością, a po jej twarzy przebiegał jakby cień tej wiosennej

świeżości, która oświeciła czoło młodej dziewczyny, zbierającej z nim niegdyś fiołki.

Uczucie potęguje się rozdziałem, tęsknota przemienia je często w namietność, a każde nowe spotkanie wzmagą wtedy niebezpieczeństwo. Z każdego spojrzenia wybucha płomień, każde słowo mówi o upajającym szczęściu zobaczenia się na koniec. Jest-że też ktoś dość silnym, aby strzegł wtedy owych słów i owych spojrzeń? Czujemy wtedy, żebyśmy z powodu naszej stałości zasłużyli na jakąś nagrodę, a nie czujemy, że ta nagroda większa jest niż zasługa. O! człowiek jest i zawsze będzie słabym, gdy walczy przeciw sobie samemu, a przytem jakże niewymownie uszczęśliwia nas, gdy widzimy, że nawet nasza milcząca tylko obecność jest już dostateczną, aby ukochane oczy zabłyśły tęsamem, co uczuwanie przez nas, szczęściem, łaby ukochane usta rozśmiały się, aby zachmurzone czoło radość oświeciła niby promień słoneczny i wszelki cień cierpienia zniknął!

Waław często nie żałował dobrowolnie nakazanej sobie męki tęsknot, gdy potem Jadwiga tak go witała rozpromienieniem całej istoty swojej. A ona? O! ona czuła natenczas z upojeniem nie do opisania, że ta złota nić, która niegdyś ich dusze łączyła, nie była zerwaną, że jej miłość odzywa się echem w jego sercu pomimo walk tyłu, i byłaby wtedy wszystkie cierpienie świata włożyła sobie odważnie na ramiona, tak czuła się silną tem przekonaniem. Cóż ją to obchodziło, że Waław nie mówił tego, co czuje, że zaledwie trochę inaczej zachowywał się wobec niej, niż ktoś zupełnie obcy, który po rozmowie z nią odwróci się i szuka natychmiast innej rozrywki! Przelotne spojrzenie, błyskawica na czoło, drgnięcie ust, półsłówko, westchnienie było już dla niej wystarczającym, bo wszystkie te drobne na pozór oznaki były pozdrowieniem, które jedna dusza przesyłała drugiej, były oznakami wzruszonego serca, które przecież zrozumie zawsze serce podobną miłością palającą.

Waław czuł przecież dobrze, że raz już winien położyć kres stanowi takiemu, stanowcze słowo wymówić i myślał sobie nieraz: —Męka to jest nie do zniesienia w taki sposób być obok siebie, a grzech jeszcze większy niż męka; małżeństwo jest rzeczą świętą i musimy rozłączyć się na zawsze!

Jadwiga przecież pytała się nieraz sama siebie: czy znalazłaby kiedy siłę na czyn podobny? Ale zawsze odpowiadała sobie przecząco: —Ach! czuję, że umarłabym bez niego! Przy nim tylko nie czuła krat swego więzienia i nie mogła już teraz wyobrazić sobie życia zdala od niego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu.

(Dokończenie).

Jeżeli Towarzystwo umiało gromadzić znaczne kapitały, to umiało ich też używać na cele prawdziwie pożyteczne i powyżej wskazanym duchem obywatelskim nacechowane. W r. 1868, gdy się zawiązywało, kształcenie kobiety w kraju naszym nie miało jeszcze tych otwartych źródeł i zapewnionych warunków, co dzisiaj. Oprócz prywatnych pensyj, otwartych tylko dla pańien zamożniejszych, nie było szkół wyższych dla kobiet, któreby w przyszłości ubogiemu dziewczęciu mogły dostarczyć chleba. Towarzystwo Pedagogiczne (i to znowu jedna z najwyższych jego zasług) pierwsze wskazało obowiązki kraju względem kobiety, podniosło potrzebę wyższych zakładów naukowych żeńskich, a zwłaszcza seminariów nauczycielskich. Ażeby zaś nie marnować wiele czasu na torowanie drogi czystej teorii, postanowiło własnymi zasobami urzeczywistnić w praktyce to, czego broniło, w imię czego przemawiało do ustawodawczych władz w kraju. Utworzyło zatem z własnych funduszków

sześć wyższych szkół żeńskich (rodzaj gimnazyów) i takowe aż do obecnej chwili utrzymywało. Szkoły Towarzystwa czynne są w Stanisławowie (od r. 1870), Tarnowie (od r. 1870), Rzeszowie (od r. 1871), Jarosławiu (od r. 1872), Kołomyi (od r. 1873) i Stryju (od r. 1876); kosztowały już one Towarzystwo przeszło 86,000 złr., a zatem pochłonięły znacznie większą połowę dziesięcioletniego przychodu. Czyliż nie miałbym wobec tego słuszości, twierdząc, że u nas odwrócono w sposób dziwnie szlachetny stosunek nauczyciela do szkoły: gdzie indziej społeczność opłaca nauczyciela, ażeby uczył w jej szkole, u nas nauczyciel z własnych oszczędności społeczeństwu daje szkołę i zaprasza je, ażeby się uczyło. Przykład to może jedyny w cywilizowanej Europie. Obecnie zrozumienie potrzeby założenia wyższych zakładów naukowych dla kobiet przeniknęło sfery rządowe i ustawodawcze, i zakładają się szkoły żeńskie z funduszków państwa i kraju, a zatem równocześnie usuwa się z bark Towarzystwa ciężar utrzymywania szkół ze swoich funduszków. W miarę tego będą te szkoły zwijane, chlubnie dopełniwszy celu swojego wobec oświaty i wykształcenia krajowi 2,267 uczennice.

Towarzystwo wydaje swoim kosztem czasopismo specjalne, poświęcone interesom szkolnictwa krajowego i uprawie metod dydaktycznych p. n.: *Szkola*. Redaktorem jego obecnym jest p. Lueyan Tatomir. Jakkolwiek rozmaite w różnych czasach robiono zarzuty temu wydawnictwu (zmieniało też ono swoich redaktorów dosyć często), to zarzuty te powstawały w miarę tego, jak ten albo inny prąd przekonań pedagogicznych torował sobie drogę w łonie Towarzystwa i zyskiwał większość, która do swojej metody, do swego widzenia rzeczy, pragnęła też nagiąć i kierunek jedynego organu prasy, poświęconego szkolnictwu. Niedbalstwa lub niedołęstwa nigdy Redakcyi *Szkoly* zarzucić nie było można. Raz uwzględniła ona więcej sprawy szkół ludowych, raz średnich; to hołdowała więcej kierunkowi humanitarnemu, to przyrodniczemu; bądź zajmowała się więcej praktyczną stroną szkolnictwa, jako-to sprawami organizacyjnymi Towarzystwa i szkół, bądź poświęcała swe łamy raczej uprawie metod; a wreszcie raz okazywała predylekcyę dla prac ogólnie-naukowych z rozmaitych zakresów wiedzy, mając na celu wykształcenie wszechstronne nauczyciela, to znowu zamykała się w ciśniejszem kole prac, poświęconych pedagogii i dydaktyce: zawsze jednak dowodziła, że ludzie, którzy ją wydają, mają na sercu dobrą szkołę i sprawę pomysłnego rozwoju nauczycielstwa krajowego. *Szkola* kosztowała Towarzystwo w ciągu dziesięciolecia 24,559 złr.

Liczba innych wydawnictw Towarzystwa doszła już także do cyfry wcale pokaznej. Fundusze nie pozwalają mu mieć się edycyi dzieł wielkich rozmiarów, ale i pomiędzy przeszło 70 numerami jego wydawnictw, znajdujemy dziełka zarówno większe obszernością jak i mające prawo do trwalszego upamiętnienia się w ubogiej dotąd literaturze pedagogicznej polskiej. Wymienię tu niektóre, które mi się wydają żywością, lub których cenną wartość znam bliżej: Sawczyńskiego: *Żywoty Benjamina Franklina i Jerzego Waszyngtona*, Tatomira *Obrazki geograficzne*, Bądzkiewicza *Jan Amos Komenski i znaczenie jego systematu wychowania*, Kawczyńskiego *O wadach szkolnictwa pruskiego*, Józefczyka *Lekcje geometryi*, Julii Selingerowej *Lekcje geografii*, Kuryłowicza *Nauka fizyki*, Zarańskiego *Lichwa a szkoła*, Petryki *O zakładaniu ogrodów szkolnych*—i wiele innych. Prócz tego wydaje Towarzystwo systematyczną *Bibliotekę dla nauczycieli*; wydanych dotąd sześć tomów zawiera: *Geometrię dla szkół ludowych*, A. Józefczyka, też geometrię po rusku, *Naukę przygotowawczą przed użyciem elementarza*, Józefa Chmielowskiego *Jak można uczyć języka niemieckiego?* profes. Uniw. dra Janoty *Nauczyciel wobec wypadków choroby u dziecka*, dra Sieradzkiego i *Nauka ogrodnictwa* A. Röhringa.

Niemniejszą od żadnej z powyższych, a może i największą, zasługą Towarzystwa jest obudzenie w kołach naszych pedagogów, zwłaszcza ludowych, zamiłowania do pracy zawodowej, które objawia się na konferencyach nauczycielskich, obfitujących zawsze w bogaty materiał do specjalnej dyskusyi, jako też, na co tu szczególną zwrócić wypada uwagę, w odczytach i wykładach publicz-

nych, urządzanych przez oddziały Towarzystwa tak w obu stolicach kraju, jak i po wszystkich miastach prowincjonalnych—odezyciach, z których jedne przeznaczone są dla ogółu publiczności, drugie wyłącznie dla nauczycieli w przedmiotach przeważnie dydaktyczno-pedagogicznych. Wykładów takich urządziło Towarzystwo w ciągu dziesięciolecia 1,936. Daleki jestem od tego, aby każdemu z nich przypisywać pewną, donioslejszą wagę; musiał tam być i próby bardzo miernej inteligencji i wątplęgo skutku; ale w najslabszem usiłowaniu wioskowego nauczyciela do ogarnięcia pewnego przedmiotu w ramy umiejętnego wykładu, nie podobna nie ocenić tego szlachetnego łamania się ducha z własnymi słabymi siłami, pobudzonego z pewnością nie czezą ambicją, ale chęcią bądźto wypowiedzania się z doświadczeń zdobytych w zawodzie nauczycielskim, ku pożytkowi drugich, bądź przyczynienia się cegiełką do wznoszonego stopniowo w kraju naszym gmachu oświaty. Wielka zaś część odczytów, a mianowicie tych, które miewali profesorowie szkół średnich po miasteczkach prowincjonalnych, a profesorowie akademicy w obu stolicach Galicyi, celowała prawdziwie wyższą wartością naukową, literacką albo pedagogiczną. Dla jednych więc te odczyty były twórczą gimnastyką myśli, dla drugich polem do podania społeczeństwu prawdziwie pożytecznego pokarmu wiedzy.

Tegoroczny zjazd walny Towarzystwa Pedagogicznego odbył się w Nowym-Sączu d. 18, 19 i 20 Lipca. Uczestników zebrało się z całego kraju do 430. Przedmiotem dyskusyi, a następnie uchwał, były pomiędzy innemi, ogródki Freblowskie. Po długich i gruntownych rozprawach, w których ścierały się różnorodne a bezstronne opinie, Towarzystwo, niezaprzeczając pedagogicznej trafności systematu, jako też dobroczynnego wpływu pierwotnego wychowania, jakie otrzymuje dziecię w szkółce Frebla, wypowiedziało jednak poważną przestrożę dla rodzin, ażeby nie tak snadnie pozbywały się dzieci z domu pod wygodnym pozorem, że ogródek Freblowski jest blisko, i że na dziecko dobry wpływ wywiera. Zapewne, że nie jest on wprost szkodliwym, ale rozumnego i tkliwego wychowania macierzyńskiego nigdy nie zastąpi. Jeżeli przeto stosunki domowe pozwalają otoczyć w domu dziecię należytą opieką wychowawczą, nie należy go pozbawiać tej opatrnościowej ręki macierzyńskiej. Tam tylko, gdzie rodzice nie mogą zająć się dzieckiem, gdzie musiałoby ono pozostać przez dzień cały, albo znaczną część jego, na łasce osób niemających ani moralnego ani intelektualnego wychowania, a tem mniej rodzinnej czułości, tam przybywa ze skuteczną i błogą pomocą zakład Freblowski. Przekonywającą w tej mierze mowę wypowiedział na zjeździe najznakomitszy niewątpliwie pedagog w kraju, pan Zygmunt Sawczyński.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 4 Sierpnia 1878 r.

(Dokończenie).

Bougreau wystawił piękny, chociaż skromny i trochę za surowy może, *Portret kobiety*. Flandin, Cotte, Hebert, każdy w swoim rodzaju może walczyć o palmę pierwszeństwa. Carolus Duran znowu przysłał śliczny portret ślicznej malutkiej *Dziewczynki*, a pani Henryeta Brown, jakby chciała przypomnieć panią Lebrun, wystąpiła z bardzo pięknym portretem—obrazem raczej—*Babki*. Staruszka, w czarnej wdowiej szacie, opiera się na rękę młodej i bardzo wdzięcznej panienki; w tej sprzeczności wieku malarz znalazł dwie wyborne twarze i zajmujący przedmiot obrazu.

Ale jakiegokolwiek mogą być zalety francuzkich malarzy i nasze dla nich sympatyje, należy się nam rozstać z nimi copredziej i przejść do naszych, do swoich, do polskich artystów. *Rari nantes*, a przecież więcej tu znajdziesz Polaków niż innych narodowości artystów. Czyśmy się odznaczyli bardzo?

to inna kwestya, i to się może pokaże z tego przeglądu, który wasz korespondent wykona sumienie, bez uprzedzenia i bez tego nacisku, jaki mogłaby sprawić na umyśle etnograficzna plemienna względność.

Alfabetyczny porządek wybawi nas od zarzutu, że mamy skłonności, albo zamiłowania lub wstępy osobiste i napróżd powzięte. Idźmy więc za tym porządkiem.

P. Alechimowicz,—obrazek z tą nazwą w katalogu *Cicho! śpi dziecię*, jestto prawie rozkaz artysty i aby być posłusznym, przejdźmy w milczeniu, bo, jak powiada stare przysłowie z pogańskich czasów: „Nie budź licha, kiedy śpi!“

P. Bakałowicz nie wychodzi z obranej raz epoki historycznej i nie usiłuje wcale zbliżyć się do nas: szkoda, bo oddawna już przeczuwaliśmy w nim artystę, któryby mógł na ojczyściej ziemi uprawiać wspaniałą swą grzędę niż na cudzej niwie. Ten dwór i ta epoka Henryka III tak mało warte, iż żal się Boże polskiego talentu; ale pokazuje się, że niema rady, i nasz malarz skazany jest na te ciężkie roboty *in aeternum*! Obraz Bakałowicza na tegorocznej wystawie różni się od poprzednich tem tylko, że dawniej Henryk III siedział na lewo, a obecnie siedzi na prawo. P. Bakałowicz wystawił również portret pana *Firmina-Didota*, syna czy synowca zmarłego parę lat temu patriarchy typografów francuzkich. Zdaje się, że sam malarz niewielką do tego portretu przywiązywał wartość, bo zawieszono go za wysoko i w złem bardzo świetle.

P. Brochockiego maleńki krajobraz z tytułem: *Przed karczmą* musi mieć pewne zalety; ale trudno ich dopatrzeć, bo płótno wisi tak wysoko, iż mój wzrok do niego nie sięga.

P. Chełmoński,—niemaleńki i niewysoko,—a choć może niezbyt dobrze oświetlony, przecież wykazuje dobrze i należyte wszystkie zalety i wszystkie wady znakomitego artysty,—tak, *znakomitego*, tego mu odmówić nie można. Ale pan Chełmoński jest poetą; owoż—*poetae nascuntur*. Urodził się więc poetą i rzecz ważniejsza dla malarza, urodził się koniarzem. Jestto specjalność, z którą koniecznie potrzeba przyjść na świat. Dlatego tak mało jest malarzy, którzyby umieli prawdziwie malować konie, ale w sztuce, niestety, tego nie dosyć. Wrodzony talent, to tylko połowa, przypuśćmy nawet trzy ćwierci drogi, ale czwarta jest niezbędna, dla tego, kto chce być prawdziwym malarzem i artystą. Otóż ta czwarta część drogi jest dyable trudną, bo to praca i nauka, nauka, która daje pewność i która pozwala na wszystkie wybrki wyobraźni, bo je umie urządzić i ustawić.

Cham, znakomity karykaturzysta, powiedział niby żartem, że podróżny, który siedzi w sianach p. Chełmońskiego, nie wie dokąd go wiozą cztery dzielne konie, które też równie nie wiedzą dokąd je wiatr niesie, a i sam malarz niewiele wie o tem. I to jest największa prawda. Młody artysta zamiast prowadzić swoją fantazyę, idzie na oślep w jej ślady.—Otóż nie bez przyczyny Francuzi nazywają ją „Domową zmorą“ (*La folie du logis*). Trzeba być umiarkowanym i ostrożnym w tych stosunkach z wietrzną; inaczej wszystko pójdzie nieładem. Oprócz koni, które, chociaż Bóg wie jak idą, ale przecież idą, reszta jest w chaosie, w prze-czuciu: niebo—nie niebo; droga — i to prawdziwe bezdroże; karczma—Bóg wie czem stoi. Szkoda, bo ten ogromny obraz, gdyby trochę tylko więcej miał porządku, podniósłby artystę na ten stopień, gdzie i dla niego i dla nas byłoby niemało chwały i niemało pożytku. Drugi, mniejszy obraz p. Chełmońskiego, też same cztery szpaki w sianach, różni się od poprzedniego rozmiarem tylko, bo zresztą są to te same zalety i też same wady, tensam talent wrodzony i tenże sam zarzut, że malarz niedosyć przysiadł fałdów.

Pan Chlebowski, któremu nie są obce tajemnice haremów i ich ciemne zaułki, daje nam widowisko Tamerlana, nawiedzającego trzymanego w więzieniu Bajazeta. Myśl jest wspaniała; ale, niestety, Tamerlan i Bajazet służą tu za pozór tylko do zapełnienia tego wnętrza wschodniego pałacu, które jest głównym przedmiotem. Trudno bowiem odgadnąć, nieczytając katalogu, że ten Mongoł w chałacie, zbliżający się powoli do siedzącego na sofie starego muzułmanina, nie jest prostym rzeźbiarzem,

co przychodzi staremu Turkowi uczynić jedną z tych propozycji, których nie odrzuca nigdy żaden Turek szanujący siebie choć trochę.

Pan Ciesielski, dając nam bez pretensyi studium malarskie, uwolnił nas naprzód od wszelkiego obowiązku wdawania się w ocenę i rozbiór.

Pan Gassowski w maleńkim widoku pięknego ustronia z południowej Francyi, przypomina nam dawniejsze swe studia, z zaznaczeniem pewnego postępu w kolorystyce, który dziś zdaje się nam zarazem silniejszym i przejrzyściejszym niż w poprzednich obrazach tego artysty.

Pan Kossak (syn) wystawił własny swój portret w mundurze austriackiego ułana. Portret młody, ale myśl dziwna!..

Pan Krabański w swoim portrecie francuzkiego majora na koniu daje nam powód do przypomnienia raz jeszcze tej uwagi, że trzeba się urodzić na malarza koni. Otóż widocznie pan Krabański nie do tego się urodził.

Panna Mikulska—dwa portrety. Oczywiście postęp w malowaniu, szczególnie w portrecie stryja, który, robiony widocznie *con amore*, ma wszystkie zalety pięknego portretu.

P. Piątkowski—*Człowiek z Ukrainy*, kozak z rodu, kozak z miny, jak mówi pieśń ludu naszego, dotąd malował nasze ukraińskie czarnobrewki na modłę francuzkich panien. Teraz odmalował nam pannę na angielską modłę, w straszliwej sukni, kupionej na tandecie, okropnie wywróconą wśród kwiatów, które mają tę jedyną zaletę, że są malowane i wcale nie udają naturalnych. Ogromne to pannisko leży niby umarłe, ale niby, bo widać, że tylko przez przyjaźń dla malarza i tak żartem przytknęła oczy. Dziwny to obraz i dziwniejsza myśl jeszcze, niżeli myśl młodego Kossaka.

Pan Przepiórski Lucyan w swoim obrazie *Dziewczynka w polu*, dał nam dowód, że możemy liczyć na przyszłość tego artysty, z którym już poraz trzeci spotykamy się w Paryżu na corocznych wystawach sztuk pięknych. Pole i kwiaty muszą to być studia, z którymi p. Przepiórski mniej jest oswojony niż z malowaniem ludzkiej postaci. Dziewczynka śliczna i miłutka, ale nie można tego powiedzieć o łące i kwiatkach. Ja myślę, że artysta musi być człowiekiem młodym, a zatem przy pracy zwycięży i to, co dziś zdaje się być tak trudnem: spodziewamy się zatem i czekajmy!..

P. Szyndler i portret barona Y. G. Są to rzeczy znane wam z Warszawy zapewne; nie mam więc potrzeby rozpisywać się tutaj.

Pp. Zierowie, ojciec i syn. Boję się, abym się nie omylił czasem, ale zdaje mi się, że dawno już, dawno, spotkałem się z panem Zierem (synem) raz pierwszy. Było to na Wystawie w Paryżu, gdzie obraz młodego malarza przedstawiał *Rosę*. Myśl dziwna, alegoryczna, uderzyła mnie na samą wzmiankę w katalogu. Malować rosę? co to być może? Szukam, patrzę i znajduję nagą panienkę ze skrzydłami i z konwią w ręku. Przyznaję się, że mię to silnie rozgniewało!.. *Quantum mutatus ab illo!* Dziś również jest to naga panienka, ale, co prawda, wychodząca ze studni, którą stare zmyślenie stara się okryć swoim płaszczkiem. Jest więc postęp i w pomysle i w sposobie malowania, a te zalety dobitniej wychodzą jeszcze w obrazie *Debory*, który dowodzi, że pan Zier pracuje silnie i że jest na prawdziwej drodze postępu.

Nie chcę się tu rozwodzić wiele nad obrazami pana Zier'a ojca, bo czyż to nie największa jego pochwała, iż posiada syna, który jest zarazem uczniem jego i współzawodnikiem? *S-ta Małgorzata i Przenajświętsza Rodzina* ojca—świadczą wyraźnie jakie-to piękne tradycje przechowują się w pracowni tej rodziny artystów.

P. Zuttera *Kwiaty jesienne*, studium, które obiecuje nam zdolnego malarza kwiatów. Ale chciałbym, aby artysta mógł usłyszeć prośbę moją o to,

żeby zwrócił się do naszej ziemi i nasze polne, polskie malował kwiaty.

Pomiędzy miniaturzystami spotykamy dwa polskie nazwiska: panny Amplewskiej i p. Ciesielskiego. Rodzaj ten, dosyć niewdzięczny i dziś już wychodzący z mody, ma to przeciwko sobie, że z natury swojej jest drobnotkowym i nie dozwala artyście rozwinąć w portrecie niezbędnych przymiotów i zupełnej swobody pędzla i zachować charakteru swojego modelu. Portrety p. Amplewskiej, trudno zgadnąć, czy są robione z natury, czy tylko są kopią olejnych portretów? jeden z nich przynajmniej, jest niezawodnie kopią (*portret księżny Elżbiety, córki Ludwika XVI*). W tym stanie rzeczy niepodobna jest wyrokować o talencie malarskim. Toż samo może się zastosować do p. Ciesielskiego: jego miniatury *Mickiewicza i Wiktora Hugo* mają przeciw sobie to głównie, że nie są robione z natury; mają więc wszystkie niedostatki niedokładnej kopii, niemając żadnej innej artystycznej zalety, dwóm zaś portretom, robionym widocznie z natury, braknie tego uczucia i tego zamachu, które cechują prawdziwie artystyczne portrety. Zresztą, tak mało jest na świecie doskonałych miniatur, że możemy przyznać accessit dwóm polskim malarzom. Wszak na bez-rybiu i rak ryb!

Panna Stryjeńska, ma na tej wystawie maleńką emalię, kopię *Narodzenia Pańskiego*, Bernarda Luini'ego; praca artystów poświęcających się emalii, jest pracą benedyktyńską; cierpliwość i doskonałość barwy jest tu największą zaletą, a zredukowanie obrazu Luini'ego do tak drobnych rozmiarów nie pozwala bynajmniej sądzić, o zasługach i talencie panny Stryjeńskiej. Wybór przedmiotu pokazuje, że artystka jest na wybornej drodze; ale trzeba czekać, co się pokaże następnie.

Malarze na porcelanie mają za sobą modę i rodzaj pracy, do której artyści czują wielki pociąg. Widzę, że u nas malowanie na porcelanie jest dosyć upowszechnione; a z kilku okazów, które widzimy na tegorocznej wystawie, można wnosić, że nasi artyści w ogólności mają w tym względzie prawdziwie artystyczne poczucie. Panny: Jarańczewska, Kownacka i Rakowska zasługują nietylko na prawdziwą pochwałę, ale i na zachętę serdeczną. Ostatnia z nich szczególnie, w kopii obrazu Matejki, *Śmierć Urszulki*, dała dowód nietylko biegłości, jako malarka na porcelanie, ale i prawdziwego uczucia artystycznego, zachowała bowiem w swej kopii zalety naśladowanego mistrza.

Pomiędzy akwarellistami pierwsze miejsce należy się, jak zawsze, naszemu Juliuszowi. Stary mój przyjaciel, mój ulubiony Kossak, i teraz dotrzymał placu. Dwie piękne i wielkie akwarelle są prawdziwą ozdobą tej wystawy; a codo układu, całości i wykonania, powinny zająć najpierwsze miejsce wśród okazów wszystkich naszych artystów. *Elekcya Jana Kazimierza* i *Złotokopie nad Dźwiną*, są to najpiękniejsze perły wśród tylu znakomitych rzeczy tego malarza. Bóg zapłać, panie Juliuszu! tylko pomieszałeś mi archeologiczne szyki cokolwiek swymi husarzami; dajesz im po dwa skrzydła na plecach, kiedy zwykle mieli oni tylko jedno po samym środku grzbietu; myślałeś zapewne „że od przybytku głowa nie boli!“ i miałeś rację—czy z jednym czy z dwoma skrzydłami—wysoko i daleko latali oni niegdyś!

Pana Sokołowskiego *Wnętrze pracowni* jest malowane śmiało i tego; mniej zadowoliły mnie widoczki z *Treport'u*, ale w ogólności uczucie artystyczne i dobro metoda,—są widoczne.

Podziękowanie nasze pannie Płużańskiej, za jej piękne kopie: Boucher'a i Bouguereau. Wachlarz szczególnie wybornie się udał.

Co do snycerstwa — jestem w wielkim kłopotcie, nie dlatego, abymy tu liczili wielu przedstawicieli z Polski, ale dlatego, że muszę pójść wbrew, już u nas w części przyjętej, opinii, i wydanym wyrokom

przez tych, którzy rozdawali tegoroczne nagrody. Nie zgadzam się wcale, na przykład na to, aby dzieła uwieńczone wielkiem premium salonu i wielkim medalem, zasługiwały na tak wielki honor; nie zgadzam się wcale na to, aby p. Lemaire wykazał tak wielkie zdolności w swoim *Samsonie i Dalili* i aby jemu jednemu należała się wielka nagroda salonu: ale koterya wszystko przemoże. Zostawmy obcych w pokój! Nasi snycerze, znani już z prac swoich, jako to pp.: Godebski i Guyski, nie zaspokoili również: pierwszy *mojego* serdecznego oczekiwania, drugi *naszej* ciekawości. Pan Godebski wystąpił z dwoma popiersiami, znakomitych zapewne, ale niepięknych Belgów. Ja myślę, że te powszednie fizyognomie modeli musiały wpłynąć na usposobienie artysty, i tych popiersi nie uważam wcale za lepsze dzieła naszego rzeźbiarza; może on wydać piękniejsze rzeczy pod każdym względem—puszczamy więc te, które są, *per non sunt* i czekamy p. Godebskiego z odwetem.

Nie ma tego usprawiedliwienia p. Guyski. Model, który mu posłużył do wystawionego popiersia, jestto młoda i wcale nieszpeta kobieta, ale powiedzmy zaraz, że jeśli podobało się modelce ułożyć swe włosy po psiemu (*à la chienne*, jak się to zwąta ta moda w Paryżu za Cesarstwa), to do artysty należało odrzucić dziwactwo na stronę i nie pozwolić, aby jego dzieło wyglądało na jakąś lalkę ze sklepu perukarza. Słyszałem tak wiele o talencie młodego snycerza, że z podziwieniem oglądałem to popiersie, gładkie, twarde i zimne, jak marmur, z którego wykute, i nie znalazłem na niem ani śladu dłuta tego snycerza, pod którym powiadają, że czuć krącenie krwi i życia,—ale tyle u nas opowiadają rzeczy! tyle...

Zato nieznajomy również i nieznany p. Grabowski (urodzony w Angers we Francyi), pocieszył me serce i rozweselił oczy swoją statuetką *Wenus w kąpielu*. Czy to Wenus czy Junona, mniejsza o to: jestto postać młodej kobiety; a skromny układ, doskonałość proporcji, czystość smaku w wykonaniu szczegółów i to uczucie życia i talentu, co tryśka z każdego uderzenia dłutem,—pogodziły mię trochę z rzeźbiarstwem i dały mi lepszą na przyszłość otuchę.

O psie gipsowym panny Dombrowskiej tyle tylko można powiedzieć, że to jest *pies z gipsu!*

Wdzięczny wnuk; pan z *Czerwonego dworu*, chcąc uczcić pamięć ukochanego dziadka, postanowił wzniesić mu pomnik, którego część niższą oglądaliśmy na Wystawie. Pan Benedykt Tyszkiewicz wykonanie tego pomnika porucił jednemu z bieglejszych rzeźbiarzy tutejszych, p. Lanzirottimu. Pomysł pomnika jest szczęśliwy tem, że się zaleca wielką prostotą. Piękny marmurowy fronton, jakby grobowej kaplicy, na którym spoczywa bronzowy sarkofag, zamknięty pięknymi bronzowymi drzwiami, nosi na sobie napis wielce skromny, który opiewa, że wdzięczny swemu dziadkowi wnuk go wystawił, z dodaniem, ma się rozumieć, nazwisk. Z obu stron drzwi stoją dwie postacie naturalnej wielkości, z marmuru: *Milosierdzie* i *Wdzięczność*. Wnuk, jak widzicie, nie żałował kosztów, ale zdolny i wprawny rzeźbiarz w dwóch wielkich postaciach niewieści nie odpowiedział zupełnie zadaniu. Architektoniczne szczegóły kaplicy są daleko piękniejsze niżli te postacie. Szkoda, ale w Czerwonym Dworze może się to wyda lepiej...

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 1-szy powieści pod tytułem: *Kłamcy*.

TREŚĆ. Prawda, (poezya), przez Maryę Ilnicką. — O znaczeniu pierwiastku ludowego w literaturze, (dokończenie). — Dwaj myśliciele francuzcy z XVIII wieku, (dalszy ciąg), przez S. K. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Połączeni na zawsze, (dalszy ciąg), powieść El. Polko, tłum. przez Ewelinę Kłoskowską. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów), (dokończenie). — Nowiny paryzkie, (dokończenie).